

# SHALEV

MEIR

ROSYJSKI ROMANS

---

MARGINESY



# SHALEV<sup>MEIR</sup>

ROSYJSKI ROMANS

---

PRZEŁOŻYŁA

Raja Bar Peled

MARGINESY

רומן רוסי

COPYRIGHT © Meir Shalev AND Am Oved Publishers 1988

Published in agreement with The Deborah Harris Agency, Israel  
and Book/lab Literary Agency, Poland  
All rights reserved

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Adam Bar Peled

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,  
WARSZAWA 2016

Pewnej letniej nocy stary nauczyciel Jakub Pines zerwał się ze snu przerażony. Na dworze ktoś wrzeszczał: „Rzną wnuczkę Libersona!”.

Ten bezczelny krzyk, głośny i wyraźny, dolatywał od strony wieży ciśnień, spośród koron kanaryjskich sosen. Przez chwilę zawisł w powietrzu jak drapieżny ptak, a potem słowa osypały się na ziemię osiedla. Bolesna, stara, od dawna znana trwoga wstrząsnęła sercem starego nauczyciela. Znów uświadomił sobie, że tylko on słyszy ten ohydny krzyk. Przez wiele lat trudził się uszczelnianiem szpar, gromadzeniem okrucichów i upartym stawianiem czoła. „Trzymam palec w tamie jak ów holenderski chłopczyk”, zwykł powtarzać, rzucając się w wir walki z kolejnym zagrożeniem. Mszyce owocowe, loteria państwowa, kleszcze bydlęce, malaryczne komary, chmary szarańczy i zespoły jazzowe falowały wokół niczym groźne bałwany i rozbijały się o jego pierś ociekającą pianą.

Rozzłoszczony, nie pojmując, jak życie we wsi może dalej toczyć się swoim torem, podczas gdy taki wybryk jawnie mu uwłacza, usiadł Pines na łóżku i poczochnął palcami owłosiony tors.

Całe osiedle było, jak to się zwykło mawiać w Dolinie, pograżone we śnie. Muły i dojne krowy w oborach, kury nioski w kurnikach, ludzie idei i pracy w swych skromnych łózkach. Wieś, jak stara maszyna o dotartych częściach, wyrabiała nocny

plan. Napętniały się mlekiem wymiona, wzbierały sokiem kiście winogron, a karki odchowanych cieląt obrastały przed wysyłką do rzeźni wyborowym mięsem. Pracowite bakterie, „nasze jednokomórkowe przyjaciółki”, jak je wdzięczny Pines nazywał na swoich lekcjach, zajmowały się dostarczaniem świeżego azotu korzeniom roślin. Lecz stary nauczyciel, człowiek łagodny i wychowawca znany z cierpliwości, nie pozwalał nikomu, a już najmniej samemu sobie, spocząć na laurach produkcyjnych dokonań.

– Złapię cię, zarazo – warknął wściekle i wyskoczył ciężko z żelaznego łóżka. Drżącymi rękami pozapinał stare spodnie khaki, wzuł czarne robocze buty wzmacniające mu nogi w kostkach i wyruszył do boju. W ciemności i pośpiechu zapomniał okularów, lecz światło księżycy wdarło się przez szczeliny w drzwiach i oświetlało mu drogę.

Na dworze potknął się o kopczyki kreta prowadzącego w ogrodzie podstępna działalność. Podniósł się, oczyścił kolana z ziemi, zakrzyknął „kto tam?” i nadśłuchiwał z wielką uwagą. Krótkowzroczne oczy wierciły leżącą przed nim ciemność, siwa wielka głowa, podobna do głów nocnych ptaków, obracała się we wszystkie strony, jak gdyby była osadzona na osi.

Ohydny okrzyk się nie powtórzył. „Jak zwykle”, pomyślał, „zarzaśnie tylko jeden raz, nie więcej”. Zafrasował się. Ordynarne słowa były wyraźnym nawoływaniem do zбочenia z drogi, do tanich uciech, do stawiania osobistego życia ponad wszystko, krótko mówiąc – do wyraźnego uchybienia regulaminowi. Stary nauczyciel, który „przygotował wszystkie nasze dzieci do życia w wierze i pracy”, przypomniał sobie grabież czekolady w spółdzielczym sklepiku dokonaną przez kilku jego starszych uczniów, kufer Rywy Margolis, przybyły z Rosji, pełen po brzegi drogich, kuszących przedmiotów i „rozmaitych luksusów”, które wstrząsnęły towarzyszami i zasadami, a także „urągłiwy śmiech włóczęg się po naszych polach hieny, co drażnił i siał zniszczenie”.

Ponieważ przypomniał sobie hienę, i to w chwili gdy nie miał na nosie okularów i był prawie ślepy, jego troska zmieniła się w trwogę. Był nieomal sparaliżowany strachem.

Owa hiena nawiedzała od czasu do czasu wsie. Wysłaniec światów rozciągających się za polami pszenicy, po drugiej stronie błękitnej góry. Podczas wielu lat, które upłynęły od czasu założenia wsi, nauczyciel nieraz słyszał jej szydercze szczekanie dochodzące wyraźnie i wyzywająco od strony *wadi* i zawsze oblatywał go strach.

Rany zadawane przez hienę były bardzo ciężkie. Wśród pogryzionych zdarzali się tacy, którym pomieszała się właściwa kolejność robót. Siali pensylarię na jesień, a winorośl przycinali latem. Inni powariowali, zaczęli powątpiewać, lekceważyć, a nawet rzucać pracę na roli, wędrowali do miasta, umierali, opuszczali kraj.

Od nadmiaru troski nie wiedział Pines, co ma począć. Widział już w swoim życiu ludzi, którzy załamali się u kresu drogi – w porcie zgarbione postacie opuszczających kraj czy wychudzonych samobójców spoczywających w grobach. Wszystkich tych, którzy zбочyli ze szlaku, poodpadali. „Młodych jerozolimskich żonkosiów pasożytujących na podziale zapomogi, chasydów z Safedu wyliczających datę Dnia Ostatecznego i durnych komunistów, wyznawców Miczurina i Lenina, którzy doprowadzili do upadku brygadę pracy”. Długie lata rozmyślań i obserwacji nauczyły go, jak łatwo upuścić krwi nieodpornemu człowiekowi.

– Napada przeważnie na dzieci, ich światopogląd bowiem jeszcze nie okrzepł – ostrzegął, gdy odkryto ślady owego podłego stworzenia w pobliżu domów gospodarzy, i żądał, by natychmiast postawiono strażę przy szkole. Nocami przyłączał się do uzbrojonych młodych mężczyzn, swoich byłych uczniów, którzy wychodzili w pole z zamiarem wykończenia kusiciela. Hiena jednak była mądra i nie dawała się schwytać.

– Tak jak i inni zdrajcy, z którymi mieliśmy do czynienia – powiedział Pines na zebraniu wiejskim. Pewnej nocy, gdy wybrał się na połów drzewnych żabek i malutkich nocnych owadożerców do szkolnego kącika przyrody, ujrzał ją po przeciwległej stronie rzecznej koryta, jak szła ku niemu lekkim krokiem dzikiego zwierzęcia. Pines zatrzymał się, a ona spojrzała na niego swoimi ryżymi, fosforyzującymi ślepiami i zawarczała uwodzicielsko. Widział spad karku, napięte mięśnie szczęk, zjeżoną i drżącą cętkowaną sierść na pochyłości kręgosłupa.

Hiena przyspieszyła kroku, depcząc młodziutkie kiełki wyki, i zanim się cofnęła i pochłonęła ją ściana sorgo, spojrzała raz jeszcze na wychowawcę i uśmiechnęła się drwiąco, obnażając oślinione zęby. Pines nie zrozumiał, co ma ten „wredny uśmiech” oznaczać, nie zauważył, że zapomniał strzelby.

– Pines zawsze zapomina strzelby – powiedzieli gospodarze, gdy dowiedzieli się o tym nocnym spotkaniu, i przypomnieli sobie, jak to wiele lat temu, gdy ojcowie zakładali wieś, jego żona Lea zmarła na malarię, a w jej łonie dwie córeczki, bliźniaczki. Pines uciekł od ukochanego ciała, z którego ciągle jeszcze sączył się zielonkawy pot, chociaż już się uspokoiło i ostygło, i pobiegł do *wadi*, w zarośla akacji, gdzie w owych czasach zwykło się popełniać samobójstwa. Kilku towarzyszy pospieszyło za nim, by go ratować, i znalazło go leżącego i płaczącego wśród sunarii. Wtedy też zapomniał strzelby.

Teraz w jego drżącym sercu znowu pojawiło się wspomnienie ohydneho zwierza, i martwa żona, i bezgrzeszne sine embriony.

Przestał wołać „kto tam?“, wrócił do pokoju, znalazł okulary i pospieszył do swojego dziadka.

Pines wiedział, że dziadek prawie nie sypia. Zapukał do drzwi i wszedł, nie czekając na odpowiedź, a uderzenie ramy siatki o framugę mnie obudziło. Spojrzałem na łóżko dziadka. Było puste jak zwykle, ale z kuchni dolatywał zapach papierosa. Mia-

łem wtedy piętnaście lat. Większość z nich upłynęła w drewnianym baraku dziadka. Wyhodowały mnie jego dłonie, dłonie sadownika. Oczy jego śledziły moje podrastanie i zachowanie, jego usta okręcały mnie grubą rafią opowieści. We wsi nazywali mnie „sierota Mirkina”, ale dziadek, litościwy, zawzięty i mściwy dziad, nazywał mnie „moje dziecko”. Był stary i blady, jak gdyby zanurzył się w białej zawieszynie, którą na wiosnę smarował pnie drzew w sadzie. Niski, żylasty, wąsaty i łysawy. Oczy, które lata wessały głęboko w oczodoły, straciły blask. Wyzierały stamtąd tylko dwa zagłębienia szarej mgły.

W letnie noce zwykł dziadek siadywać przy kuchennym stole w zdartym roboczym podkoszulku i niebieskich krótkich spodniach, pachnący dymem i słodką wonią drzew i mleka, kiwał gałązkami wykrzywionych od roboty nóg i dumał, roztrzaskając wspomnienia i grzechy. Zapisywał sobie krótkie zdania na skrawkach papieru, a te rozlatywały się potem po pokoju jak wędrujące roje bielinków. Czekał bez przerwy na powrót tych wszystkich, którzy mu się zagubili. „Żeby stali się ciałem na moich oczach”, było napisane na jednym z karteluszków, który sfrunął mi prosto do ręki.

Wiele razy, od chwili gdy zacząłem coś pojmować aż do jego śmierci, zapytywałem go uporczywie: „O czym myślisz, dziadku?”. A on mi zawsze odpowiadał: „O sobie i o tobie, moje dziecko”.

Mieszkaliśmy w starym baraku. Kazuaryny zrzucały na nasz dach kobierce twardych igiełkowatych liści i dwa razy do roku na rozkaz dziadka wlażem i zgrabiałem nagromadzoną tam warstwę. Podłoga baraku wznosiła się nieco nad ziemią, by wilgoć i owady nie nadgryzały drewnianych desek. Z tej wąskiej i ciemnej przestrzeni dochodziły mnie odgłosy walk jeży z węzami i miękkie chrobot jaszczurczych łusek. Pewnego razu, gdy ogromna skolopendra wlażała stamtąd do pokoju, dziadek ponakładał dookoła cegieł i zamknął przestrzeń oddzielającą barak od ziemi. Dochodzące stamtąd westchnienia konania i błagalne

jęki zmusiły go do zburzenia tej ściany, i nigdy więcej już tego nie robił. Nasz barak był jednym z ostatnich, jakie zostały we wsi. Gdy Ojcowie Założyciele osiedlili się na roli, cały budżet przeznaczony na budownictwo zainwestowali w betonowe obory, ponieważ dojne krowy były mniej odporne od nich na przeciwności klimatu, a hodowane i zdomowione od wielu pokoleń, nie zdradzały chęci powrotu do natury.

Pionierzy mieszkali w płóciennych namiotach, a później w drewnianych barakach. Minęły lata, zanim przenieśli się do domów murowanych z cegły, lecz w domu zbudowanym na terenie naszego gospodarstwa mieszkał mój wujek Abraham, jego żona Rywka i ich synowie, a moi kuzyni, bliźniacy Josi i Uri. Dziadek postanowił zostać w baraku. Był sadownikiem i kochał drzewa.

– Drewniany dom rusza się i kiwa. Poci się i oddycha. Każdy człowiek, chodząc po nim, wywołuje inny skrzyp – powiedział i wskazał z dumą na grubą belkę nad swoim łóżkiem, która każdej wiosny wypuszczała zielony pęd.

Barak składał się z dwóch pokoi i kuchni. W jednym pokoju spaliśmy obaj z dziadkiem na żelaznych łóżkach i kłujących siennikach, które nazywało się „siennikami z morskiej trawy”. Tu stała wielka szafa na ubrania, a obok niej „kamod”, przykryty nadpękniętą marmurową płytą. W górnej szufladzie dziadek trzymał nici z rafii, taśmy graftekstu do szczepień i tuby „czarnej maści”, którą sam przyrządzał, do leczenia kikutów po odpływanych gałęziach. Resztę narzędzi, piłę, słoiki lekarstw i trucizn, garnki, w których mieszał „zupę Bordeaux”, roztwory arszeniku, nikotyny i pyretum przechowywał w zamkniętym na klucz składziku wspartym o ścianę obory. Tym samym, w którym czasami zamykał się wuj Efraim, zanim znikł.

W drugim pokoju stały książki, takie same, jakie znajdowały się w każdym domu we wsi. *Księga owadów dla rolnika* Bodenheimera i Kleina, zeszyty „Pola” i „Sadownika” w błękitnych okład-

kach, *Eugeniusz Oniegin* w jasnej płóciennej oprawie, czarna Biblia, książki wydawnictw Micpe i Sztibel i – ukochane ponad wszystkie – dwa zielonkawe tomy *Plonu życia*, ogrodniczego czarodzieja z Ameryki, Lutra Burbanka. „Niski, chudy, lekko pochylony, o kolanach i łokciach powykrzywianych latami ciężkiej fizycznej pracy”, czytał mi dziadek opis postaci, ale Burbank miał oczy błękitne, a dziadek szare. Obok książki Burbanka stały wspomnienia napisane przez kolegów dziadka. Pamiętam do dzisiaj niektóre tytuły – *Na szlakach ziemi ojców*, *Od Donu do Jordanu*, *Moja droga do ojczyzny*, *Moja ziemia*.

Koledzy ci byli bohaterami opowiadań mojego dzieciństwa. Wszyscy, jak mówił dziadek, urodzili się w dalekim kraju, przekradli przez zieloną granicę i przybyli tu przed wieloma laty. Niektórzy na wozach „mużyków” (słowo, którego znaczenia nie znałem), jadących powoli wśród śniegów i dzikich jabłoni, wzdłuż skalistych brzegów, słonych pustynnych jezior, przez łyse pagórki i piaskowe burze. Inni wierzchem na jasnych gęsiach północnych o skrzydłach rozłożystych „jak od stodoły do kurnika” szybowali ponad wielkimi polami i Morzem Czarnym i krzyczeli z wielkiej radości. Jeszcze inni wypowiadali tajemne słowa, które „podrzucały ich wielkim wichrem” i przenosiły tutaj rozplomienionych, z zamkniętymi oczyma. I był też Szyfris.

– Gdy tak staliśmy na stacji kolejowej w Makarowie i konduktor zagwizdał, i wszyscyśmy wsiedli do wagonów, Szyfris oświadczył nagle, że on z nami nie jedzie. Nie skończyłeś pomidora, Baruch. – Rozdziawiłem usta, a dziadek wsunął w nie kawałek pomidora posypany grubą solą. – Szyfris oznajmił, że do ziemi obiecanej należy iść piechotą! Pożegnał się z nami na stacji kolejowej, zarzucił plecak na ramię, pomachał ręką, znikł w obłoku pary i do dzisiaj kroczy, i najpewniej będzie ostatnim chalucem, który tu przybędzie.

Dziadek opowiadał mi o Szyfrisie po to, by był choć jeden człowiek, który mógłby go oczekiwać, gdy dojdzie, i ja ciągle

czekałem na Szyfrisa, nawet wówczas, gdy wszyscy jego koledzy stracili nadzieję, zrezygnowali albo po prostu pomarli, nie czekając, by zobaczyć, czy rzeczywiście dotrze. Pragnąłem być dzieckiem, które wybiegnie mu naprzeciw, gdy wejdzie do wsi. W każdym punkcie na zboczach dalekiej góry dopatrywałem się jego postaci. Kopczyki gorącego popiołu, które znajdowałem na krańcach pól, były ogniskami, na których gotował sobie herbatę. Nici wełny na kołcach głogu wydarte były z jego onucy. To jego nogi odciskały nieznajome ślady na polnych drogach.

Prosiłem dziadka, żeby pokazał mi na mapie szlak wędrówek Szyfrisa, granice, przez które się przekrada, rzeki, które przecina wpływ.

– Dosty z Szyfrisem – powiedział dziadek, gdy ukończyłem czternaście lat. – On wprawdzie oznajmił, że pójdzie pieszo, ale zmęczył się widocznie po dwu dniach i został, a może zdarzyło mu się coś po drodze: zachorował, został ranny, wstąpił do partii, zakochał się... Któż to może wiedzieć, moje dziecko, wiele rzeczy może przygwoździć człowieka do miejsca.

Na jednym świstku znalazłem napisane malutkimi literkami: „Kwitnienie, a nie owoc, marsz, a nie posuwanie się naprzód”.

Książki stały oparte o wielki radioaparat Philco, jaki prenumeratorzy „Pola” mogli nabyć na przystępne raty. Naprzeciw nich ustawiona była kanapa i dwa fotele, które wuj Abraham i jego żona Rywka przenieśli do baraku dziadka, kiedy kupili sobie nowe meble. Ten pokój nazywał dziadek bawialnią, lecz gości przyjmował zawsze przy wielkim stole w kuchni.

Wszedł Pines. Z miejsca poznałem jego głos, ów donośny głos, który nauczał mnie przyrody i Biblii.

– Mirkin – powiedział – on znowu krzyczał.

– Kogo tym razem? – zapytał dziadek.

– Rżnę wnuczkę Libersona – zakrzyknął Pines mocnym głosem, wyraźnie wymawiając słowa, i z miejsca się przestraszył, zamknął okno i dodał: – To znaczy, ten, co to krzyczał.

– Pięknie, pięknie – powiedział dziadek. – Przedsiębiorczy młodzieniec. Zrobić ci herbatę?

Wyostrzyłem zmysły, by pochwycić ich rozmowę. Już nieraz przyłapywano mnie na podsłuchiwanie pod otwartymi oknami, gdy nadstawiałem ucha, ukryty wśród owocowych drzew i wiązek siana. A ja wstawiałem, otrząsałem z siebie przytrzymujące mnie siłą ręce i oddalałem się bez słowa ze sztywnymi ramionami, wyprostowany i nieprzenikniony. Ludzie przychodzili potem skarżyć się do dziadka, ale on nie dawał wiary ich słowom.

Słyszałem, jak jego stare nogi szurają po drewnianej podłodze, słyszałem plusk nalewanej wody, pobrzękiwanie łyżeczek o cienkie szkło, a potem hałaśliwe siorbanie. Przestała już mnie zadziwiać zdolność staruchów do utrzymywania w rękach parzących szklanek i spokojnego łykania wrzątku.

– Taka beczelność – powiedział Pines. – Tak wrzeszczeć. Schował się za drzewa i z ukrycia rozpuścił ozór, świnając na całą okolicę.

– Ktoś chyba stroi sobie żarty – powiedział dziadek.

– Co mam począć? – stęknął stary wychowawca, który widział w tym osobistą porażkę. – Jak się teraz pokażę we wsi?

Wstał z miejsca i przechadzał się nerwowo; słyszałem, jak w zmieszaniu i rozterce wyłamuje sobie palce.

– Figle chłopaków – powiedział dziadek. – Nie warto się przejmować.

Uśmiech, dający się wyczuć w jego głosie, rozżłościł Pinesa, który nagle wrzasnął: – Oznajmiać? Na cały głos? Wszyscy muszą to słyszeć?

– Posłuchaj mnie, Jakubie – dziadek próbował go uspokoić – żyjemy w małej miejscowości. Jeżeli ktoś coś broi, to przecież w końcu przyłapią go nocni strażnicy i wtedy wda się w to zarząd, nie warto aż tak się przejmować.

– To ja jestem nauczycielem – oburzył się Pines. – Nauczycielem, Mirkin, wychowawcą, to do mnie przyjdą z pretensjami.

W zbiorze dokumentów Meszulama Cyrkina leży w papierowej teczce znana wypowiedź Pinesa na zebraniu z roku 1924: „...Biologiczna zdolność sprowadzania na świat potomstwa nie obdarza rodziców automatycznie talentem wychowawczym”.

– Nikt nie będzie miał do ciebie pretensji o jednego rozpasanego gnojka – powiedział ostro dziadek. – Wykształciłeś dla naszej wsi i dla całego Ruchu wspomniałe pokolenie.

– Patrzę na nich – powiedział tkliwie Pines. – Przychodzą do pierwszego oddziału, zieloni jak młode pędy w rzeczonym korycie, jak kwiaty, które wplatał w tkanekę wsi.

Pines nigdy nie mówił „klasa”, zawsze mówił „oddział”. Uśmiechnąłem się sam do siebie w ciemności, wiedziałem bowiem, jaki będzie dalszy ciąg. Pines lubił porównywać pedagogikę z rolnictwem. Gdy opisywał swoją pracę, używał wyrażen „dziewicza rola”, „pełznąca wiec”, „dołek do podlewania”. Uczniowie wydawali mu się sadzonkami, a oddział – grządką.

– Mirkin – ciągnął wzburzony – chociaż nie jestem jak wy rolnikiem, to jednak ja również sieję i koszę. Oni są moją winnicą, moim sadem, i jeden taki... – Teraz omalże się nie udławił, bo rozpacz podpełzła mu do krtani. – Taki jeden... i wydała złe owoce, rżnę, ...wytrysk ogierów i członki osłów\*.

Jak wszyscy jego uczniowie przywykłem do płynących nieprzerwanie z jego ust biblijnych wersetów, lecz takich wyrażen nie zdarzyło mi się dotychczas usłyszeć. Bezwiednie poruszyłem się na łóżku i natychmiast zastygłem nieruchomo. Deski podłogi zaskrzypiały pod ciężarem mojego ciała i starcy przerwali na chwilę rozmowę. W owym czasie, gdy miałem lat piętnaście, ważyłem już ze sto dwadzieścia kilo i mogłem, schwyciwszy za

\* Księga Ezechiela 23,20. Cytaty z Biblii według wydania Brytyjskiego i Zagranicznego Towarzystwa Biblijnego, Warszawa 1985 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

rogi sporego byczka, przygiąć mu łeb aż do ziemi. Moje rozmiary i krzepa wzbudzały we wsi podziw, niektórzy gospodarze podśmiewali się, mówiąc, że dziadek daje mi pić przeznaczone dla cieląt kolostrum, siarę, zapewniającą nowo narodzonemu cielęciu moc i odporność.

– Nie podnoś głosu – powiedział dziadek. – Obudzisz dziecko.

Tak nazywał mnie aż do swojej śmierci – dziecko, „moje dziecko”.

Nawet wtedy gdy całe moje ciało pokryło się czarnym włosom, na ramionach rozwinęły się potężne bicepsy i zmienił mi się głos. Gdy nasze głosy zaczęły się załamywać, mój kuzyn Uri wybuchnął śmiechem i powiedział, że jestem jedynym dzieckiem we wsi, któremu głos zmienił się z barytonu na bas.

Pines wypluł z siebie kilka zdań po rosyjsku, w języku, do którego wszyscy Ojcowie Założyciele uciekali się za każdym razem, gdy rozmowa przechodziła w gniewne szepty, i zaraz potem usłyszałem metaliczny trzask. Była to pokrywa blaszanki tłuczonych oliwek, którą dziadek otworzył śrubokrętem. Teraz postawił na stole pełniutki talerz. Pines, wielce łapczywy na wszystko, co pikantne, słone i kwaśne, zaczął je jeść pełną gębą i z miejsca poprawił mu się humor.

– Pamiętasz, Mirkin, kiedyśmy przybyli, młodziutkie chłopaczki z Makarowa, i jedliśmy maśliny, takie czarne oliwki, w jafskiej stołówce, a na ulicy ładna jasnowłosa dziewczyna w niebieskiej chusteczce na głowie pomachała nam ręką?

Dziadek nie odpowiedział; słowa w rodzaju „czy pamiętasz?” zawsze wtrącały go w milczenie. A poza tym wiedziałem, że teraz nie będzie mówił, bo trzyma w ustach oliwkę, którą ssie powolutku, pijąc herbatę.

– Albo się je, albo wspomina – powiedział mi kiedyś. – Nie można za wiele przeżuwać naraz.

Podczas picia herbaty miał zazwyczaj w ustach zmiażdżoną oliwkę i dogryzał małymi kęskami cukier z trzymanej w dłoni



kostki, rozkoszując się delikatną mieszaniną goryczy i słodczy – herbata i oliwki. Rosja i Ziemia Izraela.

– Dobre oliwki – powiedział Pines, już trochę spokojniejszy. – Bardzo dobre. Jak mało przyjemności już nam zostało, Mirkin, jak mało, i jak mało wzruszeń. Mam obecnie osiemdziesiąt lat. Czy sługa Twój umie jeszcze określać smak tego, co je i pije, czy potrafię się jeszcze przysłuchiwać pniom śpiewaków i śpiewaczek?\*

– Wyglądałeś mi na bardzo wzruszonego, gdy wszedłeś – uważał dziadek.

– Taki arogant – parsknął Pines.

Usłyszałem, jak pestka wyskoczyła mu z ust, uderzyła o stół i poleciała do zlewu. Potem obaj zamilkli. Wiedziałem, że dziadek miażdży nową oliwkę swoją sztuczną szczęką i wysysa jej delikatny, gorzkawy sok.

– A Efraim? – zapytał nagle Pines. – Miałeś coś od Efraima?

– Ani słowa – odpowiedział dziadek chłodno, jak było do przewidzenia. – Nic a nic.

– Tylko ty i Baruch, co?

– Ja i dziecko.

Ja i dziadek. Obaj. Od dnia, w którym mnie wyniósł w ramionach z domu moich rodziców, aż do dnia, w którym ja go wyniosłem w ramionach i pogrzebałem w sadzie.

Tylko on i ja.

Mgiełka tęsknoty za dziadkiem zasnuła mi oczy. Podniosłem się z wielkiego skórzanego fotela i począłem błądzić po pokojach swojego domu. Tego wielkiego domu, który kupiłem, gdy dorosłem. Pogrzebałem w sadzie dziadka i jego towarzyszy, wzbogaciłem się i opuściłem wieś. Owo zdanie Pinesa, „tylko ty i Baruch”, kołatało mi się w głowie i nie chciało wrócić do swojej szufladki. Słysząc było szum fal, wyszedłem na skoszony trawnik i wyciągnąłem się na brzegu.

Kupiłem ten dom z całą zawartością od pewnego bankiera, który uciekł z kraju. Nie wiem, dlaczego uciekł. Nie zetknąłem się nigdy z ludźmi jego pokroju i nigdy nie wszedłem do banku. Pieniądze, które otrzymywałem od rodzin nieboszczyków, składałem w oborze, w workach po nawozie chemicznym, obok posłania starego Zajcera, który z mieszkania z krowami uczynił sprawę ideową.

– W Sedźerze również mieszkalem z bydłem – oświadczył. Wielkie uszy Zajcera sterczały po obu stronach starego kaszkietu. Umiał nimi poruszać i niekiedy, gdy był w dobrym humorze, robił to, ulegając prośbom dzieci. Zajcer posiadał niezmiennie zasady i „program”, do którego nagiął rzeczywistość, jakby była łożyską koniczyny. „Zajcer”, pisał dziadek, „stanowi partię robotniczą, w której nigdy nie nastąpił rozłam, ponieważ posiada tylko jednego członka”.

\* II Księga Samuela 19,35.

Buskila, zarządca mojego cmentarza – Miejsca Wiecznego Spoczynku Chaluców – przywiózł mnie do nowego domu furgonetką, którą woziliśmy trumny z lotniska i z domów starców oraz pomniki od starych galilejskich kamieniarzy.

Dom był biały i przestronny, otoczony pachnącym żywopłotem z fitosporum. Buskila przypatrywał mi się z satysfakcją, zanim nacisnął guziczek w automatycznej bramie. Gdy oświadczyłem, że wszyscy starcy już pomarli, że cały plac wypełnił się pomnikami, a ja mam zamiar zamknąć interes i opuścić wieś, wyszukał dla mnie nowe miejsce pobytu. To on załatwił kupno, targował się z pośrednikami i zadręczał adwokatów swoją jadowitą serdecznością.

Kiedy tak stałem z Buskilą przed tą wielką bramą, pomyślałem sobie, że nigdy nie mieszkałem w prawdziwym domu. Dotychczas zamieszkiwałem stary drewniany barak dziadka, taki sam, jaki w większości gospodarstw służył za składzik albo był rozbierany na opał.

Przyszedłem w swoim niebieskim roboczym ubraniu. Buskila, w jasnym garniturze, niósł w ręku worek. Tłuściutki, żwawy bankier pospieszył nam na spotkanie. Toczył się na pulchnych nogach po polerowanej posadzce.

– A! – zakrzyknął. – Przybyli grabarze.

Buskila nie zareagował. Lata zmagania o ideologię i sprawy zasadnicze z instytucjami wsi i Ruchu nauczyły go, że mój cmentarz wzbudza zawiść we wszystkich oprócz tych, którzy byli na nim pogrzebani. Rozwiązał worek, wytrząsnął zakurzone banknoty na dywan, aż wzniosł się ponad stertą duszący obłok siarczanu amonowego. Potem podszedł do kaszlącego bankiera, podał mu jedną rękę, a drugą trzepnął go mocno po plecach.

– Buskila Mordechaj, dyrektor – powiedział. – Wszystko w dolarach, jak było umówione. Proszę policzyć.

Buskila jest moją prawą ręką; starszy ode mnie o całe pokolenie, jest moim przyjacielem. Niski, inteligentny, o szczupłej

sylwetce i przerzedzonych włosach. Zalatuje od niego zawsze przyjemnym zapachem mydła toaletowego.

Podczas gdy bankier zbierał banknoty, Buskila poprowadził mnie poprzez przestrzeń domu. Między drogą kryształami i kolekcje srebrnych pucharów, po grubych zdradliwych dywanach. Szkice i portrety patrzyły na mnie ze ścian z gniewem i zdziwieniem. Buskila zajął do garderoby, w której wisały dziesiątki ubrań, i obmacał tkaniny taksującymi palcami znawcy.

– Co z tym wszystkim zrobisz? – zapytał. – Jesteś za duży na jego ubrania.

Powiedziałem mu, że może sobie z tego wziąć, co tylko zechce. Położył płytę na patefon i białą przestrzeń rozdarł głośny wrzask śpiewaczki operowej. Natychmiast zjawił się rozwścieczony bankier.

– Może odłożycie zabawę do mojego odjazdu?

– Policz szybko i zjeżdżaj – uśmiechnął się Buskila. – Będzie lepiej dla ciebie. – Położył rękę na grubej talii bankiera, obrócił go tanecznym krokiem i popchnął delikatnie w kierunku sterty banknotów.

Wkrótce przybyli adwokaci i przywieźli papiery do podpisu. Bankier wziął swoje walizki i pospieszył do wyjścia, a Buskila, w którego rękę już połyskiwał kieliszek, wyszedł na werandę i życzył mu pomyślnej drogi. Gdy wrócił, spostrzegł, że jestem przygnębiony.

– Może mam odjechać?

– Zostań – powiedziałem. – Tu się prześpisz tej nocy. Zjemy razem śniadanie, a potem pojedziesz.

W wielkim łóżku bankiera pierwszy raz w życiu nogi nie sterczały mi na zewnątrz. Nie byłem przyzwyczajony do uginającego się pod ciałem materaca, do dotyku czarnego jedwabiu pachnącego perfumami i dekadencją ani do smug rozkoszy pozostawionych na prześcieradle przez wypielegnowane kobiety. Jednak mury,

które wzniesli we mnie Pines i dziadek, stały na straży. Twarda skóra moich stóp wydzierła włókna z tkaniny i nie miały się mnie ani zapachy skóry i drewna, ani lśnienie kryształów i chromu.

Dopiero na kwadrans przed wschodem słońca usnąłem na zaledwie kilka minut. Porządek dnia dziadka noszę w sobie jak wypalone piętno. Zawsze budził się przede mną, zostawiał mi na stole śniadanie, potrząsał mną krótko i wychodził do roboty w sadzie. „Dobrze jest przyłapać gruszki, zanim się całkiem obudzą”, tłumaczył mi.

Buskila jeszcze się nie obudził. Rozsunąłem wielkie szklane drzwi i wyszedłem na dwór. Ogród bankiera był dla mnie zbyt pachnący, pełen przesadnie ozdobnych kwiatów, jakich nigdy jeszcze nie widziałem. Pines uczynił z nas specjalistów jedynie od roślin polnych i uprawnych. Był zdania, że dalej i frezje są roślinami dla burżujów. Naszymi kwiatami są dzikie anemony i narcyzy. Roślinami uprawnymi – koniczyna i winorośl. A dziadka drażnił: „Twój Burbank babrał się chryzantemami”. Spojrzałem przed siebie i pierwszy raz w życiu zobaczyłem morze. Zawsze było skryte za górą, lecz znałem je z opowiadań. Morze, na którego falach przybyli do kraju mój dziadek i ojciec, które kropelkami wody bryzgało w piękną twarz mojego zaginionego wuja Efraima, gdy odpływał na pola walk.

W pół godziny później zjawił się na trawniku Buskila w szlafroku, niosąc tacę obładowaną grzankami i wysokimi szklankami z sokiem owocowym. Usiedliśmy na skraju ogrodu. Mój wzrok błądzący po krzakach z miejsca odkrył pajęczą sieć. O tej porze nitki lśniły jeszcze od rosy. Na twarzy Buskili zaigrała drwina, gdy podpełzłem tam w poszukiwaniu pająka. Był schowany w malutkim namiocie z blaszek suchych liści złączonych ściegami nitek. Ukryty przed wzrokiem, czekał na zdobycz. Po raz pierwszy pokazał mi ten rodzaj pająka Pines w dziadkowym sadzie. Na początku lata zwykł mnie zabierać „do szkoły przy-

rody” w poszukiwaniu pająków i owadów. Jego starcza dłoń poruszała się z zadziwiającą szybkością, łowiąc muchę siedzącą na jednym z liści. Rzucił ją w sieć.

– Zwróć uwagę, Baruch – mawiał.

Pająk wyskoczył szybko na obwód swojej siatki, otulił muchę białym całunem, kołysząc i obracając maleńką mumię między swoimi owłosionymi nogami, potem ucałował ją króciutkim, jawdowitym pocałunkiem i poniósł do swojego schowka. Podniosłem się z klęczek i wróciłem do Buskili.

– Teraz jesteś już w pełni szczęśliwy? – zapytał rozbawiony. – Postarałem się również i o to, żebyś miał żuki w ogrodzie.

Gdy miałem pięć lat, dziadek i Pines wzięli mnie do migdałowego sadu Eliezera Libersona. Dziadek podszedł do jednego z drzew, pogrzebał trochę przy korzeniach i pokazał mi ślady wiercenia i gryzienia wiodące w głąb pod korę. Przesunął palcami do nasady pnia, zacisnął je delikatnie, aż znalazł, czego szukał, a wtedy wyjął scyzoryk do szczepień i dokładnie wyciął w korze drzewa kwadrat. Odkryta gąsienica była wielka – liczyła sobie jakieś dziesięć centymetrów – bladożółta, z ciemną, szeroką i twardą głową. Gdy poczuła na sobie promienie słońca, zaczęła się wściekle skręcać i kłąć.

– *Capnodis* – powiedział dziadek – wróg drzew migdałowych, moreli, śliwy i każdego owocu posiadającego pestkę.

– Biada tym, którzy głęboko ukrywają przed Panem swój zamysł\* – dodał Pines.

Dziadek końcem noża wydtubał gąsienicę ze szczeliny i rzucił ją na ziemię. Poczulem wzbierające we mnie obrzydzenie i gniew.

– Wzięliśmy cię tutaj – powiedział Pines – ponieważ w sadzie twojego dziadka nie znajdziesz gąsienic *capnodis*. Mama *capnodis* nie atakuje drzew zadbanych i mocnych. Wybiera sobie

\* Księga Izajasza 29,15.

najsłabszą owieczkę w stadzie. Gdy natrafi na mocne, zdrowe drzewo, w którym soki rwą się i buzują, skieruje kroki do drzewa suchego, zrezygnowanego i zgorzkniałego. Tam zniesie swe jaja, a jej gąsienice stoczą chwiejną duszę.

Dziadek odwrócił twarz, żebym nie dostrzegł na niej uśmiechu, a Pines powstrzymał mnie i nie dał rozdeptać gąsienicy.

– Zostaw – powiedział. – Sójki wybawią ją z męczarni. Jeżeli przy włamaniu złodziej zostanie złapany i pobity tak, że umrze, to nie ponosi się winy za przelanie jego krwi\*.

Wróciliśmy do domu. Jedna moja ręka była w dłoni dziadka, a druga w dłoni nauczyciela. Obu zwali Jakub. Jakub Mirkin i Jakub Pines. Podczas innej przechadzki Pines pokazał mi chrząszcza *capnodis* spacerującego po gałęziach drzew.

– On udaje szerniały migdał – szepnął.

Gdy wyciągnąłem po niego rękę, podkurczył nogi i spadł na ziemię jak kamyk. Nauczyciel pochylił się i zebrał go do małego słoiczka z trucizną.

– Jest tak twardy – wyjaśnił – że tylko młotkiem można w niego wbić szpilkę.

Dwóch staruchów wypilo tuzin szklanek herbaty i zjadło pół kilograma oliwek, a o trzeciej nad ranem Pines powiedział, że wraca do domu i jeśli złapie rozpustnika, to „czeka tamtego ciężki los”. Otworzył drzwi, stał przez chwilę, wpatrując się w ciemność, odwrócił się i oznajmił dziadkowi, że ogarnął go strach, ponieważ przypomniał sobie hienę.

– Hiena już zdechła, Jakubie – powiedział mu dziadek. – Sam wiesz najlepiej, że już zdechła. Możesz się uspokoić.

– Każde pokolenie rodzi nowych wrogów – orzekł Pines ponuro i wyszedł.

W parnym nocnym upale powłókł się do domu po „cieniutkiej błonce, na której powstało nasze życie”. Wiedziałem, że rozmyśla

\* II Księga Mojżeszowa 22,2.

o stworach siejących grozę i zniszczenie. Owe stwory rodziły się nieustannie i roily wokół niego, pękały w ciemności jak pęcherzyki mętnej i dzikiej przeszłości. Czuł ciche przyczajenie łasicy, widział przewrotny pysk dzikiego kota wyruszającego na podbitych jedwabiem łapach na zbrodniczą, grabieżczą wyprawę. W zbożowych polach myszy niweczyły harówkę rolnika, a pod kraciastym kobiercem – płachtą bruzd, sadów i rżysk – czaiła się największa ze wszystkich legend – bagno ujarzmione przez Ojców Założycieli, czekające na pierwszy znak zwątpienia. Gdy zwracał twarz na zachód, widział zza góry pomarańczową zorzę światła wielkiego miasta. Światło kuszące do wyzysku i zepsucia, lekkich zarobków, lubieżnych pomrugiwań i gestów.

Dziadek jeszcze przez kilka minut porządkował naczynia kuchenne, potem zgasił światło i wszedł do sypialni. Zanim się położył, podszedł do mnie, a ja szybko przymknąłem oczy i udałem, że śpię.

– Mój maleńki – szepnął, szukając wąsem mojego policzka i ust. Liczyłem sobie piętnaście lat. Sto dwadzieścia kilogramów potężnych mięśni i czarnych szczeciniastych włosów. Lecz dziadek każdej nocy starannie mnie okrywał. Tak uczynił po raz pierwszy owej nocy, gdy przyniósł mnie do swojego domu, i to samo robił teraz. Potem podszedł do łóżka i wyciągnął ze skrzynki z pościelą piżamę. Patrzyłem, jak się rozbierał. Lata nie wysuszyły i nie popłamiły jego ciała. Także i wówczas, gdy grzebałem go po ciemku w naszym sadzie i zdjąłem z niego tę nową piżamę, o którą prosił przed śmiercią, ciało jego w dalszym ciągu świeciło tą tajemniczą bielą, która emanowała z niego za życia. Wszyscy jego towarzysze byli opaleni, a ich skóra spękana i spalona słońcem dziesiątków lat pracy. Lecz dziadek przechadzał się zawsze po swoim sadzie w szerokoskrzydłym słomkowym kapeluszu, chroniony długimi rękawami. Promienie słońca nie porały jego twarzy, która pozostała biała jak wapno.

Otworzył okno i z westchnieniem położył się na łóżku.

---

Trzydziestoletni Baruch, który przez całe dzieciństwo i młodość żył w cieniu wspaniałego dziadka, jest dziś zamożnym człowiekiem, właścicielem ziemi, na której znajduje się cmentarz. Opowiada o losach dziadka Mirkina, który wraz z dwoma przyjaciółmi przybył z Rosji do Palestyny, by budować nową społeczność.

To historia o mężczyznach harujących w pocie czoła, uczących się ziemi od nowa, z nadludzkim wysiłkiem osuszających i przekształcających bagno w ziemię uprawną i miejsce do życia. To epos o rolnikach i postaciach niezwykłych – każdy z nich to ekscentryk owiany legendą jeszcze za życia. To opowieści, które na długo zapadają w pamięć: o uroczystości obrzezania Abrahama, pierwszego dziecka urodzonego na ziemi obiecanej, o krwiożerczej hienie i zdziżałym perskim kocie imieniem Bułhakow, o założeniu cmentarza, który „wzbudza zawiść we wszystkich oprócz tych, którzy byli na nim pogrzebani”.

To także opowieść o tym, że dziadka Mirkina – choć poślubił piękną i odważną pionierkę Fejge Lewin – do końca życia prześladowało wspomnienie kobiety, którą zostawił w Rosji.

Trudno uwierzyć, że ta historia zaczęła się tak niedawno, w latach dwudziestych XX wieku. Nie ma już takich miejsc i nie ma już takich ludzi.

---

[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)



cena 39,90 zł